



## Etyka przekonań (1876)

### I. Obowiązek dociekania

Armator przygotowywał się do wysłania jednego ze swych statków z emigrantami w morze. Wiedział jednak, że lata służby dały się już okrętowi we znaki oraz że był on od samego początku nie najlepiej zbudowany. Armatorowi sugerowano, że zdatność statku do żeglugi wyczerpała się. Wątpliwości te wisiały nad głową mężczyzny i czyniły go nieszczęśliwym; zastanawiał się, czy przypadkiem nie powinien zlecić generalnego przeglądu i remontu statku, pomimo narażenia się na ogromne koszty. Jednakże zanim okręt wypłynął, armator pozbył się tych melancholijnych przemyśleń. Powiedział samemu sobie, że przecież statek ten przebył bezpiecznie już tyle podróży i pokonał tak wiele sztormów, że bezpodstawnym byłoby przypuszczenie, iż nie podołałby także i tej wyprawie. Zaufał Opatrzności, która ma przecież w swojej opiece te wszystkie nieszczęśliwe rodziny, opuszczające ukochaną ojczyznę w poszukiwaniu lepszego życia. Zlekceważył tym samym niewygodne wątpliwości co do uczciwości konstruktorów i fachu wykonawców statku. W ten sposób nabył szczerze i wygodne przekonanie, że jego okręt jest zupełnie bezpieczny i zdatny do żeglugi; z lekkim sercem obserwował jego wyjście z portu i żywił szczerą nadzieję na powodzenie wygnańców w ich nowym domu; jak również przyjął odszkodowanie, gdy statek pochłonęły oceaniczne głębiny, by zamilknął na wieki.

Cóż możemy powiedzieć o armatorze? Z pewnością to, że był on zaiste winien śmierci tych ludzi. Stwierdzone zostało, że szczerze wierzył w stabilność statku; jednak szczerłość jego przekonania w żadnym razie mu nie pomogła, ponieważ *nie miał on prawa wierzyć na podstawie świadectw, jakie miał przed sobą*. Nabył on swoje przekonanie nie poprzez uczciwe zdobycie go w trakcie cierpliwych dociekań, lecz poprzez zagłuszenie swoich obaw. I chociaż w rezultacie mógł rzeczywiście być go całkowicie pewien, przez co nie mógł już nawet myśleć inaczej, to w stopniu, w jakim świadomie i celowo wprowadził się w taki stan umysłu, jest za nie całkowicie odpowiedzialny.

Zmieńmy nieco fakty w tej opowieści i przypuśćmy, iż okręt nie był wcale wadliwy; że przebył zaplanowaną podróż bezpiecznie, podobnie jak wiele kolejnych. Czy to w jakimś stopniu umniejsząłoby winę armatora? Ani o jotę. Kiedy czyn zostanie już dokonany, pozostaje on słuszny lub nie, na zawsze; żaden przypadek,

który udaremnia dobre lub złe czyny owoce, nie może tego zmienić. Mężczyzna nie byłby w tych okolicznościach niewinny, byłby on jedynie niezdemaskowany. Pytanie o dobro bądź zło sięga źródła samego przekonania, nie zaś tylko jego istnienia; nie tego, jakie przekonanie jest, lecz tego, w jaki sposób zostało nabyte; nie tego, czy okazało się prawdziwe czy fałszywe, lecz tego, czy posiadający je miał prawo w nie wierzyć na podstawie świadectw, które miał przed sobą.

Była sobie niegdyś wyspa, na której mniejsza część mieszkańców wyznawała religię nieuznającą ani doktryny grzechu pierworodnego, ani idei wiecznego potępienia. Inni mieszkańcy zaczęli podejrzewać, że nauczyciele tej religii posługują się podstępem, by przekazywać jej nauczanie dzieciom. Rychło zostali oskarżeni o łamanie praw swojego kraju, o próbę wydarcia dzieci spod opieki ich naturalnych i prawnych opiekunów; zarzucono im wręcz porwanie dzieci i ukrywanie ich przed przyjaciółmi i krewnymi. Grupa mężczyzn zorganizowała się, aby publicznie agitować w tej sprawie. Przedstawiali oni na łamach prasy najcięższe oskarżenia przeciwko wybranym, darzonym powszechnym szacunkiem obywatelom i robili wszystko, co w ich mocy, by przeszkodzić im w praktykowaniu ich nauczycielskiej profesji. Podnieśli oni raban tak wielki, że wyznaczono nawet specjalną Komisję, aby zbadała sprawę; lecz gdy Komisja dokładnie przeanalizowała wszelkie dostępne dowody, okazało się, iż oskarżeni byli niewinni. Nie tylko oskarżani byli oni na podstawie niedostatecznych świadectw, ale co gorsza, dowody ich niewinności mogły być bez wysiłku przez oskarżycieli zdobyte, gdyby tylko zapragnęli uczciwie je zbadać. Po ujawnieniu tych faktów, mieszkańcy kraju uznali agitatorów nie tylko za niewiarygodnych, ale także za niehonorowych. Bo choć szczerze i solennie wierzyli oni w zarzuty, jakie podnosili, to *nie mieli oni prawa wierzyć na podstawie świadectw, jakie mieli przed sobą*. Szczerość przekonań, których nie zdobyli oni poprzez cierpliwe badanie, została skradziona przez ich uległość wobec uprzedzeń i nadgorliwość.

Zmieńmy także i ten przypadek i przypuśćmy, resztę pozostawiając bez zmian, że bardziej dokładne śledztwo dowiodło rzeczywistej winy oskarżonych. Czy miałyby to znaczenie w ocenie przewiny oskarżycieli? Rzecz jasna nie; problemem nie jest to, że ich przekonanie było prawdziwe (bądź fałszywe), lecz to, że nie zostało oparte na właściwych podstawach. Bez wątplenia powiedzieliby oni „Widzicie, że mieliśmy rację; być może kolejnym razem nam uwierzycie”. I być może faktycznie uwierzono by im; to nie uczyniłoby z nich jednak zaszczytnych, godnych ludzi. Nie byłiby oni niewinni, a jedynie – niezdemaskowani. Każdy z nich, jeśli spojrzalby w głąb siebie *in foro conscientiae*, wiedziałby, że nabył i pielęgnował przekonanie, w które nie miał prawa wierzyć na podstawie świadectw, jakie miał przed sobą; i wtedy wiedziałby, że postąpił źle.

Można jednak powiedzieć, że w obu przytoczonych wyżej przypadkach to nie przekonania oceniane są jako błędne, lecz czyny, których na ich podstawie

dokonano. Armator mógłby przecież rzec: „Jestem absolutnie pewien, że mój statek jest w dobrym stanie, jednak uważam za swój obowiązek zbadanie go, zanim życie tak wielu ludzi zostanie mu zawierzone”. Jak również każdemu z agitatorów można by odpowiedzieć: „Jakkolwiek mocno byłeś przekonany o słuszności swojej sprawy i prawdziwości swych sądów, nie powinienes być publicznie atakować reputacji innego człowieka, zanim nie zbadałeś dowodów przedstawianych z obu stron z największą troską i cierpliwością”.

Pozwólcie, że wobec powyższego przyjmiemy, że taki pogląd na tę sprawę jest, póki co, niezbędny i słuszny. Jest słuszny, gdyż nawet w okolicznościach, w których czyjeś przekonanie jest tak głęboko zakorzenione, że nie jest on w stanie myśleć inaczej, wciąż ma on wybór co do powzięcia powiązanego z tym przekonaniem działania – wobec czego nie może on uchylać się od obowiązku badania przez wskazanie na moc swego przekonania; jest zaś niezbędny, bowiem tym ludziom, którzy nie nauczyli się jeszcze panować nad swymi uczuciami i myślami, trzeba przedstawić jakąś zasadę radzenia sobie z tak rażącymi zaniedbaniami.

Zakładając, że nasz pogląd jest niezbędny, trzeba zdawać sobie jasno sprawę, iż jest on niekompletny, a nasz uprzedni osąd musi go uzupełniać. Jest bowiem rzeczą niemożliwą, aby oddzieliwszy przekonanie od związanego z nim czynu, potępić pierwsze, nie potępiając drugiego. Każdy, kto posiada mocne, lecz oparte jedynie na jednostronnych świadectwach przekonanie, albo nawet ktoś tylko chcący posiadać tak utworzone przekonanie, pozbawiony jest możliwości zbadania sprawy tak uczciwie i całościowo, jak może to uczynić człek prawdziwie wątpiący lub bezstronny; tak więc posiadanie przekonania, które powstało bez należnego mu badania, czyni żywiącą je osobę niezdatną do wypełnienia tego niezbędnego obowiązku.

Równocześnie, nie jest autentycznym przekonaniem takie, które nie wpływa jakoś na postępowanie tego, który je żywi. Kto doszedł do przekonania o tym, co powinien zrobić, przemyślał i pragnie tego, ten czyn ów już popełnił w sercu swoim. Nawet gdy przekonanie nie zostaje rychło przekute w czyn, jest pieczołowicie przechowywane, kierując w jakiś sposób przyszłymi czynami. Staje się ono wtedy częścią tego zbioru przekonań, który w każdym momencie naszego życia jest ogniwem pomiędzy naszym doznawaniem a działaniem, zbioru w swej strukturze tak spójnego, że żadnej z jego części nie da się wydzielić, zaś każdy nowy dodatek wpływa na zmianę struktury całości. Żadne rzeczywiste przekonanie, jakkolwiek błahe i wybrakowane, nie jest nigdy zupełnie nieznaczące; zawsze przygotowuje grunt dla przyjęcia innych mu podobnych, potwierdza te, które wcześniej były do nich podobne, zaś osłabia te, które odznaczają się jakąś odmiennością; i tak stopniowo i niezauważenie do naszych najskrytszych myśli wjeżdża parowóz, który pewnego dnia może pociągnąć za sobą wiele niecných czynów i już na zawsze pozostawić piętno na naszym usposobieniu.

Żadne przekonanie pojedynczego człowieka nie jest także wyłącznie jego prywatną kwestią. Życie każdego z nas jest ukierunkowane poprzez ogólne pojęcie następstwa rzeczy, które zostało wypracowane przez społeczeństwo dla społecznych celów. Nasze słowa, nasze zdania, nasze formy i procesy myślowe są własnością wspólną, dostosowywaną i udoskonalaną od wieków; są rodową pamiątką, którą każde kolejne pokolenie dziedziczy i przechowuje jak jakiś drogocenny przedmiot w depozycie, obdarzając go przy tym znacznym kredytem zaufania, po to, aby następnie przekazać go swym synom i wnukom, nie tyle w innym kształcie, co raczej w bogatszej i przejrzystszej formie, naznaczonej piętnem własnych wysiłków. W ten proces, na dobre i na złe, wplecione jest każde przekonanie każdego człowieka, który dzieli mowę ze swoimi współbraćmi. Straszliwy to przywilej i straszliwa odpowiedzialność, musieć stwarzać świat, w którym żyć będą przyszłe pokolenia.

W dwóch powyższych przypadkach wskazano, że błędnym jest wierzyć w coś na podstawie niedostatecznych świadectw bądź umacniać przekonania w skutek tłamszenia pojawiających się wątpliwości i unikania dociekania prawdy. Racji ku temu nie trzeba daleko szukać: jest nią fakt, iż w obu tych przypadkach przekonanie jednego człowieka miało wielkie znaczenie dla innych ludzi. Albowiem żadne przekonanie dzierżone przez choćby pojedynczą osobę, jakkolwiek nie byłoby ono trywialne i jakkolwiek przeciętny nie byłby sam przekonany, nie jest nigdy zupełnie nieistotne lub pozostające bez wpływu na los ludzkości; stąd nie mamy innego wyboru jak za przedmiot naszej teorii uznać wszelakie przypadki jakichkolwiek przekonań. Przekonanie, ten owoc uświęconej zdolności, stanowiącej podstawę wszystkich decyzji naszej woli, która łączy zwarte energie naszego istnienia w harmonijną całość, jest nasze nie dla nas samych, lecz dla ludzkości. Zdolność ta właściwie utrwała prawdy, które zostały ustanowione za pomocą lat doświadczeń i znoju, a które przetrwały w ostrym świetle nieskrępowanej i nieustraszonej krytyki. Związuje ona ludzi ze sobą, a także wzmacnia i kieruje ich wspólnym działaniem. Przekonanie jest bezczeszczone, gdy staje się powozem dla nieudowodnionych i niezakwestionowanych twierdzeń, przyczyniając się jedynie do uciechy i przyjemności woźnicy; gdy dodaje blichtru zwyczajnej, prostej drodze naszego życia, wskazując na promienny, marzycielski miraż istniejący gdzieś poza nią; albo nawet, gdy pomaga topić wspólne dla naszego gatunku smutki i oszukiwać samych siebie, powodując nie tylko, że upadamy, ale także, że dajemy się poniżyć. Jeśli ktokolwiek spośród swych współbraci zasługuje na szacunek, to ten, kto broni czystości swojego przekonania z fanatyczną zazdrością i troskliwością przed tym, by nie spoczęło na obiekcie tego niegodnym i nie pozostało splamione na wieki.

Ten obowiązek wobec ludzkości należy przypisać nie tylko władcom, politykom, filozofom czy poetom. Każdy, nawet najprostszy człowiek, jak choćby

ten, który nieczęsto i powolnie wygłasza swoje sądy w wiejskiej tawernie, może przyczynić się do śmierci bądź przetrwania katastrofalnych przesądów, które hamują rozwój jego ludu. Każda spracowana żona rzemieślnika może obdarzyć swe dzieci przekonaniem, które zjednoczą społeczeństwo bądź rozerwą je na strzępy. Ani prostota umysłu, ani skromność pozycji społecznej nie zwalnia z uniwersalnego obowiązku podawania w wątpliwość wszystkiego, w co się wierzy.

Prawdą jest, że obowiązek ten jest ciężarem, zaś zwątpienie, jakie mu towarzyszy, jest często gorzkie. Pozostawia nas nagich i bezsilnych tam, gdzie sądziliśmy, że jesteśmy silni i bezpieczni. Wiedzieć wszystko o wszystkim to wiedzieć, jak sobie z tym radzić w każdych okolicznościach. Czujemy się znacznie szczęśliwsi i bardziej pewni siebie, gdy sądzimy, że wiemy, co dokładnie zrobić bez względu na to, co się stanie, niż gdy zgubimy swoją drogę i nie wiemy, ku czemu się zwrócić. I gdy mniemamy, że wiemy wszystko o wszystkim i że jesteśmy zdolni do podejmowania właściwych w danej sytuacji kroków, nie lubimy – co zupełnie naturalne – zorientować się, że tak naprawdę jesteśmy nieświadomi i bezradni, że musimy ponownie zaczynać od początku i próbować nauczyć się, co jest czym i jak z tym postępować – o ile w ogóle można się czegoś o tym nauczyć. To poczucie władzy powiązane z poczuciem wiedzy sprawia, że ludzie pragną wierzyć, zaś boją się wątpić.

To właśnie owo poczucie władzy jest najwyższą i najlepszą formą przyjemności, która realizuje się, gdy przekonanie, na którym poczucie to jest zbudowane, jest prawdziwe, a jednocześnie zostało uczciwie nabyte w drodze badania. Bowiem dopiero wtedy możemy prawdziwie odczuć, że jest to własność wspólna, która czyni dobro dla innych, tak jak i dla nas. Wtedy każdy z nas może być zadowolony, ale nie dlatego, że jego *ja* posiadało sekret, dzięki któremu jest bezpieczniejszy i silniejszy, ale dlatego, że *my ludzie* opanowaliśmy dzięki temu kolejny kawałek tego świata; będziemy silniejsi, ale nie dla nas samych, tylko w imię Człowieka i jego siły. Jednakże przyjęcie przekonania bez wystarczających dowodów daje kradzioną przyjemność. Nie tylko zwodniczą, bowiem dającą nam poczucie władzy, której tak naprawdę nie posiadamy, lecz także grzeszną, ponieważ skradzioną w sposób urągający naszym obowiązkom wobec ludzkości. Winniśmy bowiem wystrzegać się takich przekonań jak zarazy, która może szybko opanować nasze ciało, aby następnie rozprzestrzenić się na całe miasto. Cóż można pomyśleć o kimś, kto dla słodyczy tego owocu umyślnie naraża rodzinę i sąsiadów na plagę?

Tu, tak jak w innych podobnych sprawach, nie tylko ryzyko należy wziąć pod uwagę; albowiem zły czyn jest zawsze zły już w momencie jego dokonania, obojętnie co się wydarzy później. Ilekroć gdy pozwalamy sobie przyjąć przekonanie z niegodnych pobudek, osłabiamy swą siłę samokontroli, zdolność

wątpienia oraz sądowej i sprawiedliwej oceny dowodów. Cierpimy już dostatecznie mocno z powodu utrzymywania i wspierania fałszywych przekonań, które prowadzą do tragicznie błędnych działań, a zło, które rodzi się w tych okolicznościach, jest potężne i wszechobecne. Lecz zło szerzy się tym bardziej, gdy się wspiera i utwierdza łatwowierność charakteru i gdy zwyczaj wierzenia z niegodnych powodów staje się normą. Jeśli ukradnę komuś pieniądze, to może przez ten transfer dóbr wcale nie zostanie wyrządzona żadna krzywda; może ofiara nie odczuje wcale tej straty, a może nawet kradzież ustrzeże ją przez złym wykorzystaniem tych pieniędzy. Jednakże nie mógłbym wyrządzić tak wielkiego zła Człowiekowi, nie stając się nieuczciwym. Tym, co krzywdzi społeczeństwo, może nie być utrata jego własności, ale to, że stać by się mogło norą złodziei; albowiem wtedy przestanie być społeczeństwem. Dlatego też nie powinniśmy czynić zła, licząc na to, że przyniesie ono nam jakieś dobro; gdyż w każdym takim wypadku zło już przyszło, to my je uczyniliśmy i przez to będziemy na zawsze potępieni. Na tej samej zasadzie, jeśli pozwolę sobie na wiarę w cokolwiek na podstawie niewystarczających świadectw, nie stanie się żadna większa krzywda przez samo to przekonanie; może być ono w istocie prawdziwe, lub też mogę nigdy nie mieć okazji, aby przekuć je w czyn. Lecz nie mogę wyrządzić tak wielkiego zła Człowiekowi przez to, że stanę się łatwowierny. Zagrożeniem dla społeczeństwa nie jest to, że mogłoby ono wierzyć fałszywie, choć samo to jest już istotne; zagrożeniem jest to, że stałoby się ono łatwowieczne i straciło zwyczaj sprawdzania rzeczy i ich dogłębnego badania; albowiem, gdy to nastąpi, zapadnie się ono z powrotem w barbarzyństwo.

Krzywda wyrządzona Człowiekowi przez łatwowierność nie ogranicza się jedynie do podsycania jej u innych i konsekwentnego wspierania fałszywych przekonań. Zazwyczaj chęć zatroszczenia się o to, w co wierzę, prowadzi do chęci zatroszczenia się przez innych o prawdę tego, co mówione jest mnie. Ludzie mówią sobie prawdę, gdy każdy z nich szanuje prawdę zarazem w umyśle swoim i w umyśle drugiej osoby; lecz czy przyjaciel mój może uszanować prawdę we mnie, podczas gdy ja sam jestem wobec niej beztroski, gdy wierzę w pewne rzeczy dlatego, że chcę w nie wierzyć i dlatego tylko, że są one pocieszające i przyjemne? Czy nie nauczy się on krzyknąć do mnie „Pokój!”, kiedy pokoju nie ma? W takim wypadku muszę otoczyć się grubym całunem fałszu i oszustwa i już w nim dalej żyć. Może to mieć wcale niewielkie znaczenie dla mnie, żyjącego w bajkowym zamku słodkich iluzji i ukochanych kłamstw, lecz ma to ogromne znaczenie dla Człowieka, że uczyniłem moich sąsiadów skłonnyymi do oszustwa. Człowiek łatwowierny jest ojcem łotra i kłamcy i żyje on za pazuchą tej wielkiej rodziny, i nie będzie żadnym cudem, jeśli stanie się on taki sam jak ona. Tak blisko związane ze sobą są nasze obowiązki, że ci,

którzy w całości podążają za prawem, lecz zblądzą w jednym tylko punkcie, winę ponoszą za wszystko.

Podsumowując; *zawsze, wszędzie i bez względu na osobę niesłusznie jest żywić przekonania oparte na niedostatecznym świadectwie.*

Jeśli człowiek, posiadający przekonanie, którego został nauczony w dzieciństwie lub które nabył później, tępi i odsuwa od siebie wszelkie wątpliwości, które wzrastają w jego umyśle, w tym celowo unika czytania książek lub towarzystwa ludzi, którzy to przekonanie podważają bądź o nim dyskutują, i uważa za bluźniercze te pytania, których nie da się łatwo zadać bez naruszania go – życie takiego człowieka jest jednym wielkim grzechem przeciwko ludzkości.

Jeśli taki osąd wydaje się surowy, bo odnosimy go do prostych dusz, które nigdy nie były zdolne do niczego innego, które od kołyski wychowywano w strachu przed zwątpieniem i uczono, że ich wieczny dobrobyt zależy od tego, w co wierzą, to prowadzi nas to do bardzo poważnego pytania: *Któż odpowiada za grzechy Izraela?*

Być może pozwoli mi się wzmocnić te twierdzenia za pomocą słów Milтона:

Człowiek może okazać się heretykiem w prawdzie; i jeśli wierzy w istnienie pewnych rzeczy tylko dlatego, że tak mówi jego proboszcz bądź jakieś zgromadzenie, bez wskazania jakiejś innej racji, to choćby nawet przekonanie to było prawdziwe, prawda, którą w ten sposób utrzymuje, staje się jego herezją<sup>1\*</sup>.

I za pomocą tegoż sławnego aforyzmu Coleridge'a:

Ten, który zaczyna kochać Chrześcijaństwo bardziej niż Prawdę, wnet będzie kochał swą sektę lub Kościół bardziej niż Chrześcijaństwo, a skończy kochając siebie bardziej od wszystkiego<sup>2\*\*</sup>.

Badanie świadectw na rzecz danej doktryny nie ma być jednorazowe ani nie ma rozwiązywać problemów tej doktryny raz na zawsze. Nie jest nigdy prawowite powściągnięcie wątpliwości; albowiem może być na nią uzyskana uczciwa odpowiedź w trakcie dokonanego już badania, a jeśli nie, to dowodzi to, że badanie nie zostało jeszcze doprowadzone do końca.

„Ale przecież” – powie ktoś, „Jestem zajęтым człowiekiem; nie mam czasu na prowadzenie długich badań, które są niezbędne, abym stał się w jakimkolwiek stopniu kompetentnym sędzią, władnym rozstrzygać konkretne pytania, lub choćby, bym był w stanie zrozumieć naturę wysuwanych argumentów”. W takim razie nie powinien mieć on także czasu, aby w ogóle wierzyć.

---

1. *\*Aeropagitica*

2. *\*\*Aids to Reflection*

## II. Waga autorytetu

Czy mamy się więc stać uniwersalnymi sceptykami, wątpięcymi we wszystko, bojącymi się zawsze postawić jedną stopę przed drugą, zanim sami sprawdzimy stabilność naszej drogi? Czy mamy sami pozbawić się wskazówek i przywództwa tego ogromu wiedzy, który codziennie rozrasta się na kolejne połączenie świata, tylko dlatego, że ani my, ani nikt inny nie jest w stanie sprawdzić chociażby jednej setnej tego ogromu poprzez natychmiastowy eksperyment czy obserwację, i ponieważ żadne twierdzenie nie byłoby całkowicie udowodnione, nawet wtedy, gdyby się nam to udało? Czy powinniśmy kraść i kłamać, ponieważ nie mieliśmy nigdy żadnego osobistego doświadczenia na tyle szerokiego, by było władne uzasadnić twierdzenie, że błędnym jest tak czynić?

Nie istnieje praktycznie żadne zagrożenie, że takie konsekwencje wystąpią w rezultacie skrupulatnej troski i samokontroli w przedmiocie przekonań. Ci ludzie, którzy najpełniej wypełnili związany z tym obowiązek, odkryli, że niektóre kluczowe zasady, a zwłaszcza te dostosowane do ukierunkowywania biegu życia, wyróżniały się coraz bardziej z biegiem czasu dzięki trosce i szczeroci, z jakimi były sprawdzane, nabywając tym sposobem walor pewnej praktycznej pewności. Przekonania o tym, co dobre i co złe, które kierują naszymi działaniami wobec innych członków społeczeństwa, jak i przekonania o fizycznej naturze rzeczy, które kierują naszymi działaniami wobec obiektów ożywionych i nieożywionych, wszystkie te przekonania nigdy nie ucierpią z powodu badania; radzą sobie same, bez bycia wspomaganym przez jakieś „akty wiary”, bez zgiełku orędowników lub nawet tłamszenia przez przeciwnie świadectwa. Ponadto, jest wiele spraw, w których jest naszym obowiązkiem podążać za prawdopodobieństwem, chociaż istniejące dowody nie uzasadniają obecnego przekonania; ponieważ to właśnie za pomocą takiego działania, obejmującego obserwowanie jego owoców, zdobywane są dowody, które mogą pomóc uzasadnić przyszłe przekonanie. Nie mamy zatem powodu do strachu, że zwyczaj skrupulatnego dociekania sparaliżuje działania naszego codziennego życia.

Lecz ponieważ nie wystarczy powiedzieć: „Niesłusznie jest żywić przekonania na podstawie niegodnych świadectw” bez ustalenia, jakie świadectwa są godne, przejdziemy teraz do badania, w jakich okolicznościach winniśmy zawierzyć świadectwu innych ludzi; i wtedy, nieco później, będziemy bardziej ogólnie badać, kiedy i dlaczego możemy wierzyć w to, co przekracza nasze własne doświadczenie, a nawet całokształt doświadczenia ludzkości.

W jakich więc przypadkach, zadajmy zrazu pytanie, świadectwo człowieka jest niegodne wiary? Może on powiedzieć coś, co jest nieprawdziwe, świadomie lub nieświadomie. W pierwszym przypadku kłamie, zaś winien temu jest jego



charakter moralny; w drugim przypadku jest nieświadomy lub się myli, a wtedy jedynie jego wiedza lub osąd są błędne. Ażeby mieć prawo zaakceptować jego świadectwo jako podstawę dla naszej wiary w to, co mówi, musimy posiadać dorzeczne podstawy do ufania w jego *szczerść*, czyli w to, że rzeczywiście stara się on mówić prawdę taką, jaką zna; w jego *wiedzę*, czyli w to, że miał on niegdyś możliwości poznania prawdy w tej kwestii; i w jego *osąd*, czyli w to, że w odpowiedni sposób korzystał z tych możliwości w dochodzeniu do konkluzji, o której zaręcza.

Jakkolwiek wyłożone racje są zwyczajne i proste na tyle, by człowiek o przeciętnej inteligencji, rozważający w miarę starannie tę kwestię, był w stanie do nich samodzielnie dojść, to prawdą jest także, że znacząca liczba ludzi zwyczajowo lekceważy je, gdy rozważa dostępne świadectwa. Spośród dwóch pytań, równie ważnych dla wiarygodności świadka, „Czy jest on nieuczciwy?” i „Czy może się mylić?”, większość ludzkości jest absolutnie usatysfakcjonowana, jeśli *jedno* z nich, choćby z odrobiną prawdopodobieństwa, może mieć odpowiedź negatywną. Doskonały charakter moralny człowieka domniemywa się jako podstawę akceptacji jego twierdzeń na temat rzeczy, o których w żadnym wypadku nie mógłby wiedzieć. Mahometanin na przykład powie nam, że charakter jego Proroka jest tak szlachetny i majestatyczny, że wymaga szacunku nawet tych, którzy nie wierzą w jego misję. Jego moralne nauczanie było na tyle godne podziwu, a stworzona przez niego machina społeczna tak mądrze zbudowana, że jego przykazania nie tylko zostały zaakceptowane przez większość ludzkości, ale do dziś są przestrzegane. Jego instytucje z jednej strony wyzwoliły czarnoskórych od barbarzyństwa, z drugiej zaś nauczyły rozwijający się Zachód cywilizacji; i chociaż ludy, które dzierżyły najwyższe formy jego wiary oraz najpełniej uosabiały jego mentalność i myśl, zostały już dawno podbite i wymiecione przez barbarzyńskie plemiona, to jednak historia ich niesamowitych osiągnięć pozostaje podstawą nieprzemijającej chwały Islamu. Czy możemy wątpić w słowo człowieka tak wielkiego i tak dobrego? Czy możemy przypuszczać, że ten wspaniały geniusz, ten niezwykle moralny bohater, okłamywał nas, co do najbardziej uroczystych i uświęconych zdarzeń? Świadectwo Mahometa jest jasne, a mówi ono, że istnieje jeden Bóg i że on, Mahomet, jest jego prorokiem; że jeśli wierzymy w niego, radować się będziemy wiecznym szczęściem, a jeśli wierzyć nie będziemy, to zostaniemy potępieni. Świadectwo to ugruntowane jest na najokropniejszym z fundamentów, to jest na objawieniu z samego nieba; czyż to nie on został nawiedzony przez archanioła Gabriela, gdy pościł i modlił się w swojej pustynnej jaskini, i czyż to nie jemu pozwolono dostąpić błogosławionych łąk Raju? Z pewnością Bóg jest Bogiem a Mahomet jest jego prorokiem.

Co powinniśmy odpowiedzieć temu muzułmaninowi? Po pierwsze, bez wątpienia powinniśmy uczynić pewien wyjątek i nie dać się uwieść jego wizji charakteru

Proroka i twierdzeniom o jednoznacznie dobroczynnym wpływie islamu: zanim moglibyśmy zagłębić się wraz z nim w te kwestie, wydawać by się mogło, że musielibyśmy zapomnieć wiele okropnych rzeczy, o których mogliśmy wcześniej usłyszeć lub przeczytać. Lecz nawet jeśli postanowimy darować mu te wszystkie przypuszczenia, gwoli sporu, i ponieważ trudno jest jednocześnie wierzącym i niewierzącym dyskutować o tym sprawiedliwie i bez nadgorliwości, to wciąż powinniśmy mieć do powiedzenia coś takiego, co podważy fundamenty jego przekonania i w ten sposób ukaże, że błędnym jest je kultywować. Mianowicie: charakter Mahometa jest doskonałym dowodem na to, że był on uczciwy i mówił prawdę taką, jaką znał; jednak nie jest to dowodem na to, że wiedział, co jest prawdą. Jakie środki mogłyby mu posłużyć, by mógł on rzeczywiście wiedzieć, że forma, która mu się ukazała, była archaniołem Gabrielem, a nie jakąś halucynacją, i że jego rzekoma wizyta w Raju nie była tylko snem? Nawet jeśli uznamy, że on sam był w pełni przekonany i szczerze wierzył w to, że był kierowany przez wolę niebios, i że był nośnikiem nadprzyrodzonego objawienia, to skąd mógł on wiedzieć, że to silne przekonanie nie było błędne? Postawmy się na jego miejscu: zorientujemy się wtedy, iż im bardziej usiłujemy uświadomić sobie, co działo się w jego umyśle, tym jaśniej uzmysłowimy sobie, że Prorok nie mógł mieć w swoim natchnieniu żadnej dostatecznej podstawy dla tego przekonania. Jest jak najbardziej prawdopodobnym, że on sam nigdy nie wątpił w tej kwestii lub nawet myślał o zadaniu takiego pytania; my jednak znajdujemy się w sytuacji osób, którym to pytanie zostało zadane, i które zobowiązane są na nie odpowiedzieć. Medycznym obserwatorom znane są okoliczności, w których samotność i głód silnie wpływają na tworzenie się urojeń i sprzyjają tendencjom do chorób psychicznych. Przypuśćmy, że ja, tak jak Mahomet, udam się w pewne ustronne miejsce, aby pościć i się modlić; cóż takiego może mi się przytrafić, co dałoby mi prawo do wierzenia w to, że zostałem bosko natchniony? Założmy, że uzyskam informacje od kogoś, kto uchodzi za niebiańskiego gościa, które po sprawdzeniu okażą się prawdziwe. Nie mogę być nigdy pewien, po pierwsze, że ten niebiański gość nie jest wytworem mojego własnego umysłu i że informacja ta nie dotarła do mnie jakimś subtelnym kanałem zmysłowym, nieznanym mi w stanie mej pełnej świadomości. Lecz jeśli mój gość byłby rzeczywistym gościem i przez długi czas podawał mi informacje, które okazywałyby się wiarygodne, to rzeczywiście mogłoby to być podstawą, aby ufać mu w przyszłości, co do tych spraw, które sprawdzalne są ludzkimi siłami; lecz nie byłoby podstawą dla zaufania jego świadectwu w przypadku jakichkolwiek innych spraw. Bo chociaż jego sprawdzony charakter utwierdziłby mnie w wierze, że mówi on prawdę taką, jaką zna, to jednak pojawiłoby się to samo pytanie: Jaka istnieje podstawa, aby przypuścić, że on ją zna?

Nawet jeśli mój domniemany gość dałby mi takie informacje, następnie przeze mnie sprawdzone, które udowodniałyby, że posiada on narzędzia do zdobycia wiedzy na temat sprawdzalnych kwestii, daleko przekraczające moje możliwości, to nie uzasadniałoby mojej wiary w to, co powiedział mi na temat spraw, które obecnie nie są przez człowieka sprawdzalne. Będzie podstawą dla ciekawego domysłu i nadziei to, że będziemy mogli krok po kroku zdobywać, jako owoc naszych cierpliwych dociekań, te narzędzia weryfikacji, które pozwolą prawidłowo przekształcić każdy nasz domysł w przekonanie. Bowiem przekonanie przynależy do człowieka i kieruje sprawami ludzkimi: żadne przekonanie nie jest autentyczne, póki nie kieruje naszymi działaniami, zaś te właśnie działania stanowią probierz jego prawdziwości.

Lecz, można by odpowiedzieć, akceptacja islamu jako systemu jest właśnie tym działaniem, które spowodowane jest wiarą w misję Proroka, a które służyć będzie sprawdzeniu prawdy tej wiary. Czy jest możliwe wierzyć, że system, który odniósł taki sukces, jest naprawdę ufundowany na urojeniach? Nie tylko pojedynczy święci odnaleźli radość i spokój w wierze i zweryfikowali te duchowe doświadczenia, które obiecano są wszystkim wierzącym, lecz także całe narody zostały podniesione w ten sposób z dzikości czy barbarzyństwa do wyższego statusu społecznego. Z pewnością możemy powiedzieć, że działano na podstawie przekonania i że zostało ono faktycznie zweryfikowane.

Wymaga, jednakowoż, niewielkiego wysiłku wykazanie, że to, co naprawdę zostało zweryfikowane, to nie boski charakter misji Proroka, tudzież wiarygodność jego autorytetu w kwestiach, których sami nie możemy sprawdzić, lecz zaledwie jego praktyczna mądrość w konkretnych, bardzo przyziemnych sprawach. Fakt, że wierzący odnaleźli radość i spokój w wierzeniu, daje nam prawo, aby powiedzieć, że doktryna ta jest doktryną wygodną i przyjemną dla duszy; nie daje nam to jednak prawa stwierdzić, że jest prawdziwa. Zaś pytaniem, które nasze sumienie zawsze zadaje na temat tego, w co nie jesteśmy skłonni wierzyć, nie jest „Czy to jest wygodne i przyjemne?”, lecz „Czy to jest prawdziwe?”. To, że Prorok nauczał pewnych doktryn i przewidział, że ludzie odnajdą w nich duchowy komfort, dowodzi jedynie jego sympatii dla ludzkiej natury oraz jego wiedzy na jej temat; nie dowodzi jednak jego nadludzkiej wiedzy na temat teologii.

Zaś jeśli przyznamy, gwoli dyskusji (ponieważ wydaje się, iż nie możemy zrobić nic więcej), że w niektórych przypadkach rozwój poczyniony przez muzułmańskie nacje rzeczywiście zawdzięczany był systemowi utworzonemu i rozpowszechnionemu na świecie przez Mahometa, nie upoważnia nas to do konkluzji, że był on natchniony do głoszenia prawdy o rzeczach, których w ogóle nie możemy sprawdzić. Upoważnia nas to tylko do wniosku o naczelną wartość jego moralnych zasad lub wymyślonych przez niego środków, za pomocą których ludzie byli mu posłuszni, albo też społecznej czy politycznej maszyny, którą

stworzył. I wymagałoby to ogromu szczegółowych badań historii tychże nacji, aby ustalić, która z tych rzeczy miała największą część w uzyskanym przez niego rezultacie. Tak więc ponownie, jest to znajomość natury ludzkiej przez Proroka i jego sympatia dla niej, które są tutaj zweryfikowane; nie jego boska inspiracja czy też znajomość teologii.

Jeśli rzeczywiście był zaledwie jeden Prorok, wydawać się może trudnym, a nawet beznadziejnie niewdzięcznym zadaniem decydować, w których kwestiach będziemy mu ufać, a w których będziemy wątpić w jego autorytet; i stwierdzamy to, widząc jaką pomoc i jakie wsparcie ludzie otrzymali na przestrzeni wieków od tych, którzy widzieli wyraźniej, odczuwali silniej, i którzy swym sercem poszukiwali prawdy mocniej niż ich słabsi bracia. Lecz nie istnieje tylko jeden Prorok; i podczas gdy trwałe przymierze tych z ludźmi, którzy dysponowali faktycznie narzędziami zdobywania wiedzy i przez to rzeczywiście coś wiedzieli, umocniło i powiększyło tę wspaniałą, wielką tkaninę ludzkiej wiedzy, to każdy przypadkowy świadek tego, czego oni nie wiedzieli i nie mogli wiedzieć, ostrzeże nas, że każde wyolbrzymienie proroczego autorytetu to w istocie jego nadużycie, które hańbi tych, których celem było przecież pomagać i rozwijać ludzkość za pomocą tej władzy. Nie leży w ludzkiej naturze, by dokładnie określać granice swego postrzegania; jest to jednak obowiązek tych, którzy opierają się na pracy Proroka, aby ostrożnie rozważyć, gdzie mógł on takowe granice przekroczyć. Jeśli utrwalamy jego pomyłki wraz z jego faktycznymi osiągnięciami, a nadto przywołujemy jego autorytet jako wymówkę, by wierzyć w coś, o czym nie mógł on sam nic wiedzieć, rzeczywiście przemieniamy jego dobre intencje w przyczynę do grzechu.

Rozważmy jeszcze tylko jeden przypadek: wyznawcy Buddy mają przynajmniej takie samo prawo, by odwoływać się zarówno do indywidualnego, jak i społecznego doświadczenia, by podierać autorytet Wschodniego Zbawcy. Za szczególną cechą jego religii powszechnie uważa się komfort i pocieszenie, jakie przynosi chorym i cierpiącym, czułe współczucie, z jakim koi i uśmierza ludzkie smutki. I żaden triumf społecznej moralności nie będzie większy i bardziej szlachetny od tego, który ochronił prawie połowę ludzkiej rasy przed prześladowaniem w imię religii. Jeśli wierzyć twierdzeniom jego wczesnych wyznawców, to sądził on, że zjawił się na Ziemi z boską i kosmiczną misją, której celem było nadanie biegu kołu prawa. Będąc księciem, wyrzekł się swojego królestwa, z własnej woli zażył życia w nędzy i nauczył się ją poskramiać. Czy taki człowiek mógłby fałszywie mówić o cnotliwych sprawach? Zważywszy na jego wiedzę, czyż nie miał on cudownych mocy w porównaniu ze zwykłym człowiekiem? Zrodzony był z kobiety bez udziału mężczyzny; wznosił się w powietrzu i przeistaczał na oczach swych bliskich; aż w końcu jego ciało wzniosło się do nieba ze Szczytu Adama. Czyż jego słowu nie należy wierzyć, kiedy zaświadcza o niebiańskich rzeczach?

Gdybyż tylko on i nikt inny występował z takimi twierdzeniami! Ale mamy tylko Mahometa i jego świadectwa; nie mamy innego wyjścia, jak słuchać obydwu. Prorok mówi nam, że jest tylko jeden Bóg i że żyć będziemy wiecznie w radości lub cierpieniu, zgodnie z tym, czy wierzymy w niego, czy też nie. Budda mówi zaś, że żaden Bóg nie istnieje i że będziemy po trochu unicestwiani, o ile tylko jesteśmy godni dostąpić tego zaszczytu. A przecież obydwaj nie mogą być w tej kwestii niezawodnie natchnieni i się nie mylić; jeden z nich musiał być ofiarą urojenia; myśleć, że wie to, czego tak naprawdę nie mógł wiedzieć. Któż odważy się rzec, który to z nich? I jak możemy uzasadnić przekonanie, że ten drugi także nie został oszukany?

Rozważanie to prowadzi nas to do następujących wniosków. Dobroć i wielkość człowieka nie uzasadniają akceptowania jakiegos przekonania jedynie na podstawie jego autorytetu, chyba że istnieją rozsądne podstawy, aby przypuszczać, że znał on prawdę w kwestiach, o których mówił. Nie istnieją zaś żadne podstawy, aby przypuszczać, że jakkolwiek człowiek wie coś, czego my, także nie przestając być ludźmi, nie bylibyśmy w stanie jakoś zweryfikować.

Jeśli chemik powie mi, niechemikowi, że jakaś substancja może zostać otrzymana poprzez połączenie innych substancji w odpowiednich proporcjach, a następnie poddanie ich jednemu ze znanych procesów chemicznych, moje przekonanie o tym będzie zasadniczo usprawiedliwione na podstawie jego autorytetu, chyba że będą istnieć inne racje, by nie ufać jego reputacji czy osądowi. Albowiem jego profesjonalne wykształcenie zaświadcza tu o jego prawdomówności, stanowiąc gwarancję jego szczerego dążenia do prawdy, gruntując przy tym awersję do pochopnych wniosków i niedbałych dociekań. Mam także uzasadnione podstawy, aby przypuszczać, że zna on prawdę na temat, o którym mówi, bo chociaż nie jestem chemikiem, to mogę na tyle zrozumieć metody i procesy naukowe, by móc sobie to wyobrazić i – nie rezygnując z mego człowieczeństwa – zweryfikować to twierdzenie. W rzeczywistości mogę go nigdy nie zweryfikować, a nawet nie zobaczyć żadnego eksperymentu, który służyłby jego weryfikacji, lecz mimo to nadal posiadać będę istotną rację, by wierzyć, że weryfikacja ta mieści się w zasięgu ludzkich sił i możliwości, tym bardziej że została ona wykonana przez mojego informatora. Jego rezultat, czyli przekonanie, które wypracował w toku badań, jest uzasadnione nie tylko dla niego, ale i dla nas wszystkich; jego prawdziwość jest obserwowalna i sprawdzalna przez innych pracujących w tej samej dziedzinie, którzy wiedzą, że największą przysługę nauce wyświadcza ten, kto oczyszcza przyjęte dotąd wyniki z pomyłek, które mogły się w nie wkraść. To właśnie w ten sposób rezultat staje się własnością wspólną, prawidłowym przedmiotem wiary, która będąc w interesie społecznym, staje się sprawą publiczną. Dlatego widzimy, że jego autorytet jest przekonujący, ponieważ istnieją ci, którzy go chcą podważać i weryfikować, że to właśnie ten proces badania

i oczyszczania jest tym procesem, który wśród badaczy utrzymuje przy życiu miłość do prawdy, która przejdzie test wszelkiego badania, a także poczucie powszechnej odpowiedzialności u tych, których praca, jeśli dobrze wykonana, ostanie się jako trwałe dziedzictwo ludzkości.

Jednak, jeśli mój chemik powie mi, że atom tlenu niezmienny w wadze i częstotliwości drgań istniał przez cały czas, to nie mam prawa, aby wierzyć w to wyłącznie na podstawie jego autorytetu, bowiem jest to rzecz, której nie może on wiedzieć będąc człowiekiem. Może on szczerze wierzyć, że jego twierdzenie jest właściwym wnioskiem z prowadzonych przez niego badań, jednakże w tym akurat wypadku jego osąd jest błędny. Namysł nad charakterem tych badań ukazałby mu, że nie mogą one nigdy doprowadzić do rezultatów tego rodzaju; faktem jest, że przybliżone i ograniczone w swym charakterze badania nie mogą dostarczyć nam wiedzy dokładnej i uniwersalnej. Żadna wybitność charakteru i geniuszu nie może nadać człowiekowi wystarczająco autorytetu, by usprawiedliwiać wiarę w jego twierdzenia implikujące jakkolwiek dokładną czy uniwersalną wiedzę.

Podobnie, badacz Arktyki może przekonywać nas, że na konkretnej szerokości i długości geograficznej doświadczył takiego a takiego poziomu zimna, że morze tam było tak a tak głębokie, a lód takiego, a nie innego rodzaju. Powinniśmy zatem mieć rację, biorąc jego twierdzenia na poważnie, w braku jakichkolwiek podejrzeń co do jego prawdomówności. Można sobie wyobrazić, że jako ludzie udajemy się tam, by zweryfikować jego twierdzenie; możemy też polegać na świadectwie jego towarzyszy, istnieje zatem dostateczna podstawa, by przypuszczać, że zna on prawdę o tym, o czym mówi. Jeśli jednak jakiś starszy wielorybnik powiedziałby nam pewnego razu, że lód jest gruby na trzysta stóp aż po biegun, nasza wiara w jego słowa nie byłaby usprawiedliwiona. Bo chociaż twierdzenie to może być kiedyś zweryfikowane przez człowieka, z pewnością nie było możliwe do zweryfikowania przez *niego* za pomocą środków czy urządzeń, które posiadał; wobec czego musiał on przekonać siebie co do prawdziwości tego sądu w sposób, który nie nadaje wartości jego świadectwu. Wobec tego, nawet jeśli dana kwestia leży w zasięgu ludzkiej wiedzy, nie mamy prawa zaakceptować twierdzeń, które jej dotyczą na podstawie autorytetu, chyba że twierdzenia te mogły być objęte wiedzą naszego informatora.

Cóż możemy powiedzieć innym, bardziej szacownym i dostojnym niż jakiegokolwiek pojedyncze świadectwo ludzkie, autorytecie wiekowej tradycji rasy ludzkiej? Atmosfera, w której zawieszono są nasze przekonania, uformowana została dzięki pracy i wysiłkom naszych przodków, i to dzięki niej możemy swobodnie oddychać mimo rozmaitych i złożonych okoliczności, z jakimi codziennie borykamy się w naszym życiu. Roztoczono ją wokół nas, o nas, jak i w nas; nie możemy myśleć inaczej jak przy pomocy form i procesów myślowych przez nią warun-

kowanych. Czyż można w nią wątpić i próbować sprawdzać sądy, które nam podsuwa? Zaś jeśli jest to możliwe, to czy jest to właściwe?

Znajdziemy powód, aby odpowiedzieć, że jest to nie tylko możliwe i słuszne, ale stanowi to wręcz wiążący nas obowiązek; że głównym celem tradycji samej w sobie jest dostarczanie nam narzędzi do zadawania pytań, do sprawdzania i dociekania istoty rzeczy; że jeśli źle je wykorzystamy i potraktujemy jedynie jako zbiór suchych, dogmatycznych twierdzeń, które akceptuje się bez dalszych dociekań, skrzywdzimy przez to nie tylko siebie, lecz – odmawiając przedzenia naszej części wspólnej tkaniny, którą przecież odziedziczą nasze dzieci – usuwamy siebie i całą naszą rasę na stałe z ludzkiego szeregu.

Zajmijmy się najpierw rozróżnieniem takiego rodzaju tradycji, która szczególnie wymaga badania i podważania, ponieważ istotnie kurczy się pod wpływem głębszych dociekań. Przyjmijmy, że szaman w Środkowej Afryce tłumaczy swojemu plemieniu, że pewne silne lekarstwo na panującą chorobę zostanie wytworzone siłą bóstwa w jego namiocie, jeśli plemię poświęci swoje bydło, zaś plemię mu wierzy. To, czy lekarstwo zostaje wytworzone, a bóstwo zjednane czy nie, jest nieweryfikowalne, a bydła i tak nie ma. Plemię wciąż jednak może posiadać przekonanie, że lekarstwo zostało otrzymane właśnie w ten sposób; zaś w kolejnym pokoleniu innemu medykowi będzie prościej przekonać ich do podobnego poświęcenia. W tym wypadku jedyną pobudką dla wiary jest fakt, że skoro wszyscy wierzyli w to tak długo, to musi to być prawdą. Jednakże przekonanie to zostało zbudowane na oszustwie, a rozprzestrzenione przez zwykłą łatwowierność. Postąpi dobrze ten, kto będąc przyjacielem ludzi, w końcu podważy to przekonanie, rozumiejąc, że nie ma dla niego żadnego świadectwa, i pomoże swoim sąsiadom widzieć to, co on, a gdy zajdzie taka potrzeba, pójdzie do świętego namiotu i zniszczy rzekome lekarstwo.

Zasada, która powinna nami kierować w takich sytuacjach, jest dość prosta i oczywista: zbiorowe świadectwo naszych sąsiadów jest poddane takim samym kryteriom jak świadectwo któregośkolwiek z nich. To znaczy, nie mamy prawa wierzyć, że coś jest prawdą tylko dlatego, że wszyscy tak twierdzą, chyba że istnieją dobre podstawy, aby wierzyć, że przynajmniej jedna z tych osób posiada możliwość uzyskania wiedzy w tej kwestii i gotowa jest mówić prawdę na tyle, na ile ją zna. Mimo że wiele nacji i pokoleń ludzi sprowadzanych zostaje tu do roli świadków, nie mogą oni nigdy poświadczyć czegoś, czego nie wiedzą. Każdy człowiek, który przyjął twierdzenie od kogoś innego, zaś samemu go nie sprawdził, nie może w tej sprawie zeznawać; jego słowo nie jest nic warte. A gdy dotrzemy do źródła narodzin i początków danego sądu, musimy zadać dwa kluczowe pytania dotyczące tego, kto pierwszy go wypowiedział: czy mylił się on w myśleniu, że *posiada wiedzę* na ten temat, czy też może kłamał?

To ostatnie pytanie jest niestety bardzo aktualne i praktyczne dla nas, w czasach i w kraju, w których przyszło nam żyć. Nie mamy możliwości udać się do La Salette, do Środkowej Afryki czy do Lourdes, by szukać przykładów niemoralnych i poniżających ludzkość przesądów. Jest natomiast wysoce prawdopodobne, że wiele dzieci dorastających w Londynie otoczonych jest dziś atmosferą przekonań odpowiednich raczej dla ludzi dzikich, a które zostały oparte na oszustwie i rozprzestrzenione przez łatwowierność.

Porzucmy dyskusję nad sposobem przekazywania tradycji kolejnym pokoleniom bez jej sprawdzenia i skupmy się na tym, co rzeczywiście jest ufundowane na wspólnym doświadczeniu ludzkości. Ta wspaniała tkanina doświadczeń stanowi przewodnik dla naszych myśli, a poprzez nie dla naszych działań – zarówno w świecie moralnym, jak i fizycznym. W świecie moralnym dostarcza nam, na przykład, ogólnych pojęć słuszności, sprawiedliwości czy dobroczynności i innych im podobnych. Są one nam dane jako teorie, a nie jako poszczególne zdania czy sądy; odpowiadają pewnym określonym instyktom, które z pewnością posiadliśmy, wszystko jedno jak. Nasze prawo do działań dobroczynnych związane jest z bezpośrednim, personalnym doświadczeniem, albowiem, gdy człowiek spojrzy w głąb siebie i znajdzie tam coś okazalszego i bardziej trwałego niż swą samotną jaźń i to coś powie mu „Chcę czynić to, co słuszne” oraz „Chcę czynić dobro wobec innych”, to może on przy pomocy bezpośredniej obserwacji sprawdzić, że pierwszy instykt opiera się na drugim i zgadza z nim wprost. I jest jego obowiązkiem sprawdzać takie i inne podobne sądy.

Tradycja mówi nam również, że w konkretnym miejscu i o konkretnym czasie takie a takie działa są sprawiedliwe, prawdziwe lub dobroczynne. Każda z takich zasad wymaga dalszego dociekania, jako że czasem są one ustanowione przez autorytety inne niż te, które czerpią swą siłę z moralnego zmysłu opartego na doświadczeniu. Do niedawna moralna tradycja naszego kraju – a właściwie całej Europy – pouczała nas, że dobroczynnym jest bezkrytyczne przekazywanie pieniędzy żebrakom. Jednak podważanie tej zasady i dokładne jej zbadanie doprowadziło ludzi do odkrycia, że prawdziwie dobroczynne jest to, co pomaga człowiekowi wykonywać pracę, do której jest najlepiej przystosowany, a nie to, co pomagając mu się utrzymać, wspiera go w jego życiowej bezczynności; zaś lekceważenie dziś tego rozróżnienia jest przyczynkiem dla nędzy i niedoli w przyszłości. Za pomocą dociekania i dyskusji praktyka ta nie tylko została oczyszczona, stając się bardziej dobroczynną, ale sama teoria dobroczynności w ogóle została poszerzona, stając się przez to bardziej rozsądną. W tym wypadku wielkie wspólnotowe dziedzictwo składa się z dwóch części: instyktu dobroczynności, który określa pewną stronę naszej natury, być może dominującą, jako pragnącą czynienia dobra ludziom, oraz intelektualnej teorii dobroczynności, którą możemy zestawić z każdym rozważanym sposobem zachowania



i zapytać: „Czy jest to dobroczynne czy nie?”. Poprzez ciągle zadawanie takich pytań i udzielanie odpowiedzi na nie, teoria ta poszerza się i dookreśla, zaś sam instynkt wzmacnia się i oczyszcza. Wydaje się więc, że dobrym użyciem tej teorii, stanowiącej intelektualną część tego dziedzictwa, jest umożliwianie nam stawiania pytań; że dzięki nim wzrasta, jednocześnie pozostając sobą; i jeśli nie będziemy używać jej do tego właśnie celu, to będziemy stopniowo ją tracić, aż w końcu pozostaniemy ze sztywnym kodeksem regulacji, które w ogóle nie będą mogły być nazwane moralnością.

Te rozważania stosują tym wyraźniej i jaśniej, jeśli to w ogóle możliwe, do zbioru przekonań i teorii o świecie fizycznym, które zgromadzili dla nas nasi ojcowie. Gotowi jesteśmy naśmiewać się z niepisanej, codziennej zasady Australijczyka, który ciągle przywiązuje swój topór do boku nosidła, mimo że pewien krawiec z Birmingham wyciął w siodle specjalną dziurę, aby go tam włożyć. Jego ludzie przywiązywali topory w ten sposób od wieków: kimże on jest, że miałby sprzeciwić się ich starodawnej mądrości? Zszedł on na psy do tego stopnia, że nie może już zrobić czegoś, co niektórzy z nich z pewnością robili w odległej przeszłości – podważyć ustanowionego sposobu użytkowania siodła i nauczyć się czegoś lepszego. Jednak w ciemnych początkach wiedzy, gdzie nauka i sztuka były jednym, odnajdujemy tylko tę samą prostą zasadę, która odnosi się do najwyższych i najgłębiej sięgających odrostów tego kosmicznego Drzewa; do jego najbardziej wzniosłych, kwiecistych gałęzi, jak również najgłębiej wkopanych korzeni; jest to zasada stwierdzająca, że to, co przechowywane i przekazywane nam przez pokolenia, jest właściwie użyte przez tych, którzy zachowują się tak, jak zachowywali się jej twórcy, kiedy zapragnęli to zachować; przez tych, którzy używają tego do zadawania dalszych pytań, do badania, do dociekania; wreszcie przez tych, którzy szczerze i solennie próbują odnaleźć właściwy sposób postrzegania spraw i radzenia sobie z nimi.

Właściwie zadane pytanie stanowi już połowę odpowiedzi, jak mawiał Jacob; możemy dodać, że metoda rozwiązania jest jej drugą połową, zaś faktyczny rezultat, w porównaniu do tych dwóch połów, nic nie znaczy. Posłużmy się przykładem telegrafu, w którego przypadku teoria i praktyka, wzrastające latami po cichu, są cudownym stadłem owocnie służącym ludzkości. Ohm odkrył, że siła prądu elektrycznego jest wprost proporcjonalna do siły baterii, która go produkuje, zaś odwrotnie proporcjonalna do długości kabla, za pomocą którego się on przenosi. Zależność tę nazywa się prawem Ohma, lecz rezultat, postrzegany jako twierdzenie, będące przedmiotem odpowiedniego przekonania, nie jest jego ważką częścią. Pierwsza połowa tego pytania to: Jaka zależność utrzymuje się pomiędzy tymi wartościami?

Ujęte w ten sposób pytanie to zawiera w sobie pojęcie siły prądu i siły baterii, rozumianych jako wartości do pomiaru i porównania; sugeruje wyraźnie, że są

to rzeczy, które należy rozpatrzyć w toku badania prądów elektrycznych. Druga połowa pytania to kwestia metody dochodzenia: jak zmierzyć te wielkości, jakie instrumenty wymagane są dla skutecznego przeprowadzenia eksperymentu i jak ich używać? Od studenta, który zaczyna uczyć się o elektryczności, nie wymaga się znajomości prawa Ohma; wymaga się jedynie zrozumienia przez niego pytania, a gdy zostaje on umieszczony przed przyrządami, uczony jest, jak je sprawdzić. Uczy się go robienia rzeczy, a nie myślenia, że wie, czym te rzeczy są; używania przyrządów i zadawania pytań, a nie akceptacji tego tradycyjnego twierdzenia. Pytanie, które wymagało geniuszu, by właściwie je zadać, uzyskuje prawidłową odpowiedź już od nowicjusza. Jeśli prawo Ohma zostałooby nagle zagubione i zapomniane przez ludzkość, podczas gdy pytanie i metoda rozwiązania by przetrwały, ich rezultat mógłby być odzyskany w godzinę. Jednak rezultat sam w sobie, jeśli jest znany ludziom, którzy nie mogliby zrozumieć znaczenia pytania albo środków służących do jego rozwiązania, byłby jak zegarek w rękach dzikusa, który nie potrafiłby go nakręcić, bądź też jak żelazny statek parowy naprawiany przez inżynierów z Hiszpanii.

Jeśli chodzi o uświęconą tradycję ludzkości, to wiemy już, że składa się ona nie z sądów lub twierdzeń, które będąc przedmiotem uznanych przekonań, wynikają z autorytetu tej tradycji, lecz raczej z dobrze zadanych pytań i z teorii, które umożliwiają nam zadawanie pytań jeszcze dalszych, jak i z metod zadawania tych pytań. Wartość tych wszystkich rzeczy zależy od weryfikowania ich dzień po dniu. Sama świętość tego drogocennego depozytu nakłada na nas obowiązek i odpowiedzialność sprawdzania go, oczyszczania z błędów i powiększania z całych sił. Ten, kto użyje rezultatów prowadzonych badań do tłamszenia swych własnych wątpliwości lub do hamowania dociekań innych, będzie winnym świętokradztwa, którego kolejne stulecia nie będą w stanie zamazać. Kiedy już wysiłki i badania szczerych i odważnych ludzi wyniosą tkaninę znanej im prawdy do chwały, której my, w obecnym pokoleniu, nie możemy sobie jeszcze wyobrazić, ani nawet mieć na jej uzyskanie jakiegokolwiek nadziei, w tej czystej i świętej świątyni nie będzie miał ani on, ani grupa jego towarzyszy udziału, zaś jego imię i prace pozostaną w mrocznej otchłani zapomnienia na zawsze.

### III. Granice wnioskowania

Pytanie, w jakich przypadkach możemy wierzyć w coś, co wykracza poza nasze dotychczasowe doświadczenie, jest pytaniem znaczącym i delikatnym, rozciągającym się na całą gamę naukowych metod i wymagającym znaczącego zapytywania, zanim będzie można udzielić na nie jakiejś odpowiedzi, jakkolwiek bliskiej zupełności. Lecz jedna zasada, leżąca u progu naszego problemu, od-

znacząca się niezwykle prostotą i niebywałą wagą praktyczną, może tu zostać wskazana, a następnie – pokrótce przedstawiona.

Odrobina refleksji skieruje naszą uwagę na fakt, że każde przekonanie, nawet najprostsze i najbardziej fundamentalne, wykracza poza nasze doświadczenie, gdy uznajemy je za przewodnik dla naszych działań. Sparzone dziecko lęka się ognia, ponieważ wierzy, że ogień, który sparzył je wczoraj, tak samo sparzy je dziś; lecz przekonanie to leży poza granicami jego doświadczenia, zakłada bowiem, że nieznaną jeszcze ogień dnia dzisiejszego jest taki sam, jak poznany ogień dnia wczorajszego. Nawet przekonanie, że dziecko zostało wczoraj sparzone, przekracza *teraźniejsze* doświadczenie, obejmuje bowiem tylko wspomnienie sparzenia, a nie samo sparzenie; zakłada więc, że wspomnienie to jest wiarygodne, mimo że wiemy, iż takie wspomnienie może być często mylne. Lecz jeśli ma być użyte jako przewodnik do działania, jako wskazówka radzenia sobie z tym, co przyniesie nam przyszłość, musi coś o tej przyszłości z góry założyć, a mianowicie to, że będzie ona spójna z założeniem, że wczorajsze sparzenie rzeczywiście miało miejsce; lecz to przekracza granice naszego doświadczenia. Nawet fundamentalne „Jestem”, które nie może być podane w wątpliwość, nie posłuży za przewodnik do działania, o ile nie przemieni się w „Będę” – co także przekracza granice doświadczenia. Pytaniem nie brzmi więc: „Czy możemy wierzyć w coś, co przekracza nasze doświadczenie?”, ponieważ takie przekroczenie jest wpisane w naturę samego przekonania, właściwe pytanie brzmi: „Co, jak daleko i w jaki sposób możemy dołączać do naszego doświadczenia, gdy formujemy nasze przekonania?”

A sama odpowiedź, całkowicie prosta i uniwersalna, sugerowana jest przez przykład, którego wcześniej użyliśmy: sparzone dziecko lęka się ognia. Możemy sądzić o kwestiach wykraczających poza nasze doświadczenie jedynie pod warunkiem, że sądy nasze są wywnioskowane z uprzedniego doświadczenia dzięki założeniu, że to, czego jeszcze nie znamy, jest podobne temu, co już poznaliśmy, bądź, innymi słowy, możemy dołączać coś do naszych doświadczeń, zakładając jednolitość natury. Czym ta jednolitość dokładnie jest, jak wzrasta nasza wiedza o niej z pokolenia na pokolenie – to są pytania, które na czas obecny odkładamy na bok, jesteśmy bowiem kontenci z możliwości zbadania dwóch przykładów, które mogą przysłużyć się zrozumieniu natury tej zasady.

Z pewnych obserwacji dokonanych spektroskopem wnioskujemy o obecności wodoru w Słońcu. Spoglądając w spektroskop, kiedy promienie słońca padają na jego szczelinę, dostrzeżemy specyficzne jasne linie: a eksperymenty dokonywane na ciałach na Ziemi nauczyły nas, że kiedy widzimy te jasne linie, ich źródłem jest zawsze wodór. Przypuszczamy więc, że te nieznanne jasne linie na Słońcu są takie, jak znane jasne linie w laboratorium, i że wodór w Słońcu zachowuje się tak samo, jak wodór w podobnych warunkach zachowuje się na Ziemi.

Lecz, czy nie nazbyt wierzymy spektroskopowi? Z pewnością, gdy stwierdzamy jego wiarygodność dla badania ziemskich substancji, w których to warunkach jego twierdzenia mogą być przez nas zweryfikowane, usprawiedliwiamy nasze akceptowanie jego świadectw w innych podobnych przypadkach, lecz czyż nie jest tak, kiedy daje nam on informacje o rzeczach na Słońcu, gdzie jego świadectwo nie może być bezpośrednio zweryfikowane przez człowieka?

Z pewnością chcemy wiedzieć nieco więcej, zanim usprawiedlimy to rozumowanie, i szczęśliwie wiemy to. Spektroskop zaświadcza dokładnie taką samą rzecz w obu przypadkach; mianowicie, że trafiają do niego drgania świetlne o określonym współczynniku. Jego konstrukcja jest taka, że jeśli mylilibyśmy się na ten temat w jednym przypadku, to nasze przekonania byłyby błędne także w drugim. Kiedy zagłębialiśmy się w ten temat, zauważamy, że rzeczywiście założyliśmy, iż materia Słońca jest, tak jak materia Ziemi, złożona z różnorodnych substancji i że każda z nich, kiedy jest rozgrzana, wydziela określony współczynnik wibracji, dzięki któremu może być rozpoznana i wyszczególniona spośród reszty. Jest to rodzaj przypuszczenia, co do użycia którego jesteśmy usprawiedliwieni, o ile dołączymy je do naszego doświadczenia. Jest to założenie o jedności natury, które może być sprawdzone wyłącznie w porównaniu z wieloma innymi założeniami, które musimy przyjąć w podobnych przypadkach.

Lecz czy jest prawdziwym to przekonanie o istnieniu wodoru w Słońcu? Czy może ono pomóc we właściwym kierowaniu ludzkim działaniem?

Z pewnością nie, jeśli jest ono zaakceptowane w oparciu o niegodne podstawy i bez krzyty zrozumienia procesu, w jakim zostało zdobyte. Lecz uznanie tego procesu za podstawę przekonania stanowi bardzo poważną i praktyczną kwestię. Jeżeli bowiem nie ma wodoru w Słońcu, to spektroskop – to znaczy pomiar współczynników drgań – musi stanowić niepewny przewodnik w rozpoznawaniu różnych substancji; a co za tym idzie, nie może być używany w analizie chemicznej – np. w oznaczaniu prób – co dotąd służyło wielkiej oszczędności czasu, kłopotu i pieniędzy. Tymczasem akceptacja spektroskopowych metod jako wiarygodnych wzbogaciła nas nie tylko o nowe metale, co samo jest już rzeczą niezwykłą, ale także o nowe procesy dochodzenia, co stanowi osiągnięcie jeszcze bardziej niezwykłe.

Weźmy inny przykład i rozważmy sposób, na jaki wnioskujemy o prawdziwości jakiegoś wydarzenia historycznego – powiedzmy oblężenia Syrakuz w czasie wojny peloponeskiej. Doświadczenie mówi nam, że istnieją manuskrypty, które nazywa się i które same siebie nazywają manuskryptami historii Tukidydesa; w innych manuskryptach, ponoć napisanych przez późniejszych historyków, opisany jest on jako ktoś, kto żył w czasach wojny; zaś książki pochodzące rzekomo z okresu odrodzenia nauki mówią nam, w jaki sposób te manuskrypty zostały zachowane i kiedy zostały zdobyte. Dowiadujemy się również, że ludzie,

co do zasady, nie fałszują ksiązek i historii bez konkretnego motywu; przypuszczamy więc, że w tej kwestii ludzie byli w przeszłości tacy, jakimi są dziś i obserwujemy, że w tej sytuacji nie istniał żaden specjalny motyw. Tak więc dołączamy te założenia do naszego doświadczenia na podstawie przypuszczenia o jednolitości charakteru ludzi. Ponieważ nasza wiedza na temat tej jednolitości jest o wiele mniej kompletna i dokładna niż nasza wiedza o wynikach uzyskiwanych w fizyce, wnioski natury historycznej są o wiele bardziej niepewne i mniej dokładne niż wnioski w wielu innych naukach.

Jeśli istnieje jakikolwiek szczególny powód, aby podejrzewać charakter osób, które pisały lub przekazywały pewne książki, przypadek ten zostaje zmodyfikowany. Jeśli z analizy zbioru dokumentów wynika, że były one tworzone pomiędzy ludźmi, którzy fałszowali książki w imieniu innych i którzy, opisując wydarzenia, powściągali te sądy, które im nie pasowały, zaś zgodne z ich intencjami rozdmuchiwali; którzy nie tylko popełnili te występki, lecz także chlubili się nimi jako świadectwami ich pokory i zapału; wtedy musimy stwierdzić, że nie można przeprowadzić na podstawie takich dokumentów żadnych prawdziwych wnioskowań historycznych, a jedynie niezadowolające domysły.

Możemy zatem dołączyć do naszego doświadczenia pewne przekonania na podstawie przypuszczenia o jednolitości natury; możemy wypełnić nasz obraz tego, co jest i co było, wedle tego, jak mówi nam doświadczenie, w taki sposób, aby utworzyć całość zgodnie z tą jednolitością. Zaś praktycznie zademonstrowane wnioskowanie – to, które daje nam prawo, by wierzyć w jego rezultat – jasno wykazuje, że w żaden inny sposób, jak tylko przez prawdę przedstawionego rezultatu, jednolitość natury może być uratowana.

Wobec tego, żadne świadectwo nie może usprawiedliwić naszej wiary w prawdziwość twierdzenia, które jest przeciwne zasadzie jednolitości natury lub poza nią wykracza. Jeśli naszego doświadczenia nie można konsekwentnie jednolicie wypełnić, to jedynym, z czego mamy prawo wyciągnąć wniosek, jest fakt, że gdzieś popełniono błąd; lecz wtem możliwość wnioskowania została nam odebrana; musimy ograniczyć się do naszego doświadczenia i nie przekraczać go w ogóle. Jeśli rzeczywiście wydarzyło się coś, co nie było elementem jednolitej natury, mogło ono mieć dwie właściwości: żadne świadectwo nie mogłoby nam dać prawa do wierzenia w nie, oprócz tych, których było osobistym doświadczeniem, i żadne wnioskowanie warte przekonania nie mogło być na nim oparte.

Czy mamy więc obowiązek wierzyć, że natura jest absolutnie i uniwersalnie jednolita? Z pewnością nie, nie mamy bowiem prawa wierzyć w żadną z takich rzeczy. Zasada mówi nam tylko, że w formułowaniu przekonań, które wykraczają poza nasze doświadczenie, możemy przypuścić, że jeśli o nas chodzi, natura jest praktycznie jednorodna. W ramach zakresu ludzkiego działania i stosowanych przez ludzi metod weryfikacji możemy formułować, za pomocą tego przy-

puszczenia, rzeczywiste przekonania; poza nim – tylko te hipotezy, które służą dokładniejszemu zadawaniu pytań.

Podsumowując, możemy wierzyć w to, co wykracza poza nasze doświadczenie, tylko wtedy, kiedy jest wywnioskowane z doświadczenia poprzez przypuszczenie, że to, czego nie znamy, jest takie, jak to, co znamy.

Możemy wierzyć w twierdzenie innej osoby, jeśli istnieje racjonalna podstawa, by przypuszczać, że zna ona materię, o której mówi, i że mówi prawdę na tyle, na ile ją zna.

Niesłusznym w każdym przypadku jest żywić przekonania na podstawie niewystarczających świadectw, zaś tam, gdzie z tej przyczyny powinno się podawać je w wątpliwość i zakładać potrzebę badania, stanowi to większe zło niż tam, gdzie z braku jakichkolwiek dowodów – pozostają one naszymi domniemaniami.